

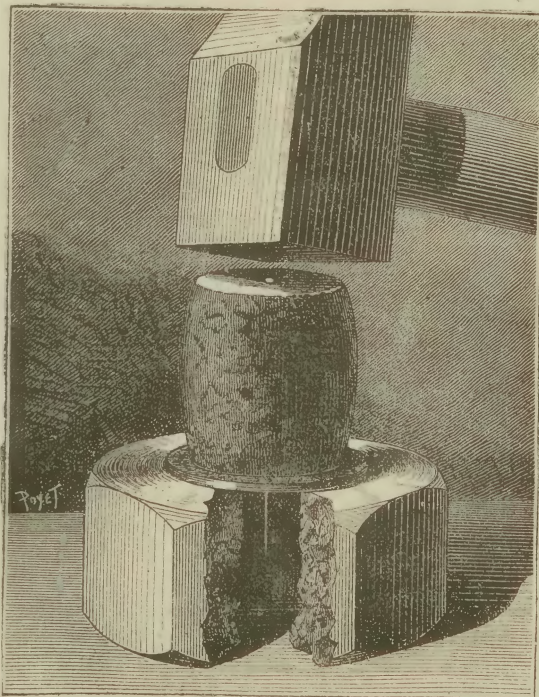


## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.

Każdy wie o tem, że dyament rysuje, a nawet rozcina szkło. Dlaczego? bo jest twardszy od szkła. Szkło znów

twardsze jest od marmuru i z łatwością na nim pozostawia rysy. Dobry stalowy nóż lub szczyrtek rysuje na miedzi, bo stal od miedzi jest twardsza. Otóż na téj zasadzie można grosz miedziany przedziurawić igłą stalową. Rozumie się, że gdybyśmy próbowali wbijać tę igłę poprostu w grosz, jak ówczek w ścianę, przełamałaby się natychmiast, bo stal, jakkolwiek twarda, jest przytem nadzwyczaj krucha. Lecz trzeba wynaleść sposób zabezpieczenia igły od złamania.

Bierze się duży korek, téj saméj długości, co igła, a wetknąwszy ją przez sam środek starannie, aby tam była całkiem nieruchoma, ustawia się, jak wskazuje rysunek, grosz miedziany na jakiejkolwiek podstawie drewnianej, mającej otwór pośrodku, na groszu zaś umieszcza się korek z igłą, końcem w dół zwróconą. A teraz zwyczajnym młotkiem uderzać można silnie w główkę igły, jeśli tylko dobrze i ciasno siedzi w korku, nie przełamie się wcale, lecz ostrze jej wejdzie w grosz miedziany i na wylot go przebije. Gdyby się to doświadczenie nie powiodło odrazu, zrażać się nie należy, lecz próbować raz drugi i trzeci, igły nie są zbyt kosztownym przedmiotem, można więc parę dla nauki poświęcić. I korek zmienić nie zawadzi w razie niepowodzenia, na które wpłynąć może drobna jakaś przyczyna. Upewniamy jednak czytelników, że doświadczenie to, przy starannem i dokładnem wykonaniu, udaje się zawsze.

## NA ZBÓJECKIM OSTROWIU

powieść

przez M. Zielińską.

(Dokończenie).

— Co to? — spytał nerwowo wstrząśnięty tym blaskiem Ernest.

— To, paniczu, w rudniach nad Sławeczną pałą... tam, gdzie panicz Marko lubiał zaglądać, bo mówił, że i u nas takie trzeba urządzić, tylko mądrzejsze, bo tu w tych na strasznie prosty użytek jeno wyrabiać umieją żelazo... — półgłosem, jakby sama do siebie, objaśniła Basia.

— Lubiał? — powtórzył Ernest z namysłem — héj, Hryczy, płyniemy w górę Sławeczną do rudni, do których brat mój lubiał zaglądać, jak mówi Basia!

I w kilka chwil później łódź wpłynęła na Sławeczną. W jednej z rudni nad Sławeczną położonych, młody, dzielny robotnik stał właśnie o świcie u roboty przed wielkim piecem, oblany podwójnym światłem, świtu i ogniska, zadumany, ale z żelaznym w dłoni drakiem, opatrzonej w czerpak na końcu, robotnik ponury a krzepki i z głową wzniesioną, jakby świat miał do walki wyzywać... gdy wtem dwie pary rąk zawisło mu jednocześnie u szyi... Jednym muskularnym ruchem ramienia już miał się oswobodzić od natrętów, zdziwiony napaścią, gdy przypadkiem, zdążywszy spojrzeć im w oczy, opuścił ręce bezwładnie:

— Bracie, braciszku jedyny, złocisty, niegodziwy, jakieś ty miał serce to zrobić? — wołali na wyścigi Basia i Ernest, a Marcyan na prawdę nie wiedział, co im odpowiedzieć, bo w liście swym jedynym, jaki pisał w życiu do brata, wypowiedział już wszystko, co i dlaczego czynił; cóż było mówić teraz? Poleszuk o sercu i umyśle głębokim, jak poleskie przepaście i ponurym, jak tajemnica, zwykł z natury daleko więcej myśleć, niż mówić, a Marcyan był Poleszukiem z krwi i kości, a bardziej jeszcze z ducha.

— Dajcie wy mi pokój — rzekł wreszcie. — Już napisałem, że świat i życie mogą z czasem rozdzielić znowu serca najbardziej Ignące do siebie na razie, a wtedy moje serce cierpiało by za wiele, bo miało by czas przyrosnąć do waszych; wolę nie dać mu przyrosnąć, rozdzielając się zawczasu. Dajcie mi pokój.

— Świat i życie, i żadna ziemską potęgą, nawet gdyby krocie mil położyła między nami, nie zdoła już rozdzielić serc naszych! — brzmiała odpowiedź uroczysta, tak uroczysta i spokojna, że można było uwierzyć.

— Nie — dodała poleska dziewczyna — z bratniami i siostrzanemi sercami nie tak łatwo się rozdzielić. Nie gardź miłością, szczerą i wierną, najwyższym z darów twórczej potęgi, korzystaj zeń raczej z wdzięcznością, wracaj z nami do rodzinnej chaty i żyj w bratnim kole, ucząc młodszą brać słowem i przykładem, czem jest miłość, życie i śmierć!

Paryżanin, który po raz pierwszy słyszał poleską dziewczynę, wychowaną poprostu, widząc przytem wrażenie, jakie słowa jej sprawiły na Poleszuku, uniesiony wdzięcznością, pochwycił jej rękę i do ust przycisnął, a Poleszuk spuścił podniesioną dotąd dumnie głowę i rozmówiwszy się z rządcą rudni, gdzie się najał za parobka, poszedł z nimi milczący, gdzie go powiedli. Hryczy i Wasio, czekający opodał, do nóg się rzucili paniczowi Markowi, prosząc, aby nie opuszczał młodszego braci ludu, z którym od wielu wieków w bratniej zgodzie żyli jego pradiady.

— Widzicie, że trudno mi być musi go opuścić — dodał Marko — kiedy zamiast od razu puścić się jak należało w świat na Czarne morze, gdzieby mię już z pewnością nikt nie odszukał, ja pozostałem w dolinie Prypeci, durząc sam siebie, że i tu będę mógł żyć niepoznany... — A po chwili milczenia mówił dalej, zwracając się już teraz do Hryczego i innych Poleszków:

— Gdyby mnie nie było, gdybyście mieli jednego tylko dziedzica, czyliż nie musielibyście pokochać go zdwojonym kochaniem, boć znam was i wiem, że zaprzecić się tego, coście wiernie przez tyle wieków pradziadom naszym oddawali w serc daninie, nie potraficie. Wtedy i on nauczyłby się cenić was, i powoli, gdy pan Orchard lepiej teraz z mego listu dowiedziawszy się, co warte są włości, które chciał zmarnować, nie nagliłby do sprzedaży, może Paryżanin osiedliłby się w starem gnieździe i dawne czasyby wam wróciły...

— Otóż w tem się mylisz — odparł Ernest — bo to, co mówisz, może być, ale tylko wtedy właśnie, gdy ty pozostaniesz ze mną, inaczej... patrz, oto jest umyślnie dla ciebie przygotowana kopia ostatniej prośby mojej, ostatniej woli raczej, jaką pozostawiłem w rękach księdza Jacka, na przypadek, jeżelibym znalazłszy ciebie nie wrócił z tobą, bo wtedy wiedz, że nie wróciłby żaden z nas dwóch do rodzinnego gniazda...

I podał Ernest kopię prośby swjej ostatniej Hryczemu, który odczytał ją głośno: był to prosty akt darowizny części gruntów chłopom, a reszty księdzu Jackowi na jakikolwiek zakład naukowy, czy dobroczynny, wedle jego uznania i potrzeb miejscowej ludności. Ostatni z rodu starych panów tej części poleskiej doliny wyrzekł się swjej ojcowizny i wracał na obcą ziemię, jak z niej przybył, przepadając dla własnej.

— Nie, na to nie pozwolę! — zawołał Marko ożywiając się nagle — Ja chcę, aby ta ziemia zyskała syna, zamiast go tracić!

— A więc przystań na słuszny, równy podział jej między mnie i ciebie i na wspólne na nią życie, a zostanę na niej — powiedział Ernest.

— Któż mi zaręczysz, że ty sam nie pożałujesz później dzisiejszych uniesień i postanowień?... że ze wstrętem kiedyś nie odwrócisz się i od tego brata i od tej ziemi? — zawołał z żalem Marko.

— A więc, słuchaj — żywo odparł Ernest — wszak masz zupełne zaufanie w rozumie i życzliwości księdza Jacka? Pójdźmy do niego i uczynmy, co on postanowi.

Marko po namyśle przystał na to, a ksiądz Jacek, wysłuchawszy z uwagą obu braci, namyślał się także i to dosyć długo, aż rzekł nareszcie:

— Moje dzieci, macie oba słuszne racje, tak, że rozstrządzić pomiędzy wami tej sprawy teraz jest niepodobna, gdyż trudno zaręczyć, czy wy sami jeszcze z czasem przekonani nie zmienicie. Otóż jabym wam radził odłożyć ostateczne postanowienie, pozostawiając tymczasem zarząd waszych włości w rękę Hryczego, a samym we dwóch razem odbyć kurs wyższych nauk, jak to Ernest sam jeden miał zrobić za powrotem do Paryża. Marko, nie mówiąc już o samej nauce, nie straci nic na zapoznaniu się z szerszym światem, tak jak Ernest wcale nie stracił, poznając się bliżej z rodzinną włością swoją; tymczasem zaś dojrzejecie moralnie i bez cudzej porady będziecie wiedzieli, co postanowić, zwłaszcza, że i poznać się lepiej wzajemnie.

Dwaj bracia zgodzili się na radę księdza i zastosowali do niej, a natenczas stało się to, na co doświadczony ksiądz skrycie rachował: oto szkolna ława poprzyjaźniła braci tak ściśle na życie całe, że po skończeniu nauk wcale już, nietylko sprzeczek, ale nawet układów pomiędzy nimi nie było, gdyż czuli, że nie podobnaby im było rozstać się na dłużej. Zamieszkali więc obaj stale na Pińszczyźnie, odwiedzając tylko tęskniących za nimi krewnych w Paryżu.

Stary Wasio długie jeszcze lata służył za przewodnika ludzom, przeprowadzającym się przez poleskie błota; i wraz z całą gromadą poleską, która to niegdyś opiekowała się „paniczem Markiem”, pysznił się teraz Wasio swoim wychowańcem, nie już „paniczem” ale panem Markiem. A gdy za staraniem i pod kierunkiem Marcyana rozpoczęto wydobywać węgiel kamienny z pokładów, ukrytych dotąd w bogatej a milczącej ziemi, gdy nowy dobrobyt skutkiem tego wraz ze zwiększonym polem pracy spłynął na mieszkańców okolicznych, wtedy już granic nie miała duma gromady, z której

każdy Poleszuk wieśniak, biorąc się w boki przy lada wzmiance o panu Marku, mówił:

— Otóż my sobie wychowali pana, co daj Boże!...

Chaty, ze dworem spojone węzłem bratniej miłości, zakwitły spokojnem szczęściem, możliwem na świecie w takich jedynie warunkach. Obaj bracia znaleźli sobie z czasem dobre i miłe żony, a poczciwi Poleszucy pieścili i kochali tem samem gorącym uczuciem ich dziatwę, małych paniczyków i panienki, a w starym dworze wesoło było i gwarno.

Szczęście to po przyjrzeniu mu się tak ucieszyło poczciwe serce „francuzkiego dziadzi”, że nietylko sam kilkakrotnie przyjeżdżał ze swojej „pięknej Francyi” aby mu się przypatrzyć, ale nawet przywiózł raz z sobą siostrę swą „francuzką babcię” która po dłuższym wśród wnucząt pobycie przestała ojczyznę ich nazywać „krajem dzikich” i po długich latach żalu przebaczyła nareszcie temu krajowi nieszczęście, jakie niegdyś spotkało w nim jej ukochaną córkę, przekonawszy się, że nieszczęście po największej części w nas samych miewa źródło swoje. Może pojęła, że zbyt czyste rozpieszczenie córki przyczyniło się wiele do uczynienia jej nieznośnem życia, w którym przy surowszem wychowaniu i ona mogłaby wytrwać w zdrowiu i uczuć się szczęśliwą.

## DO KOTKA.

Za ogrodem, na łące,  
Rosną kwiaty pachnące,  
Płyną srebrne rzeczułki;  
Ptaszki nucają pieśń w gaju,  
O swobodzie, o Maju;  
Brzękiem wtórzają im pszczołki.

Szemrzą wody i drzewa,  
A w około rozbrzmiewa  
Hymn wesela, dziękczynny, radosny,  
W blaskach słońca kwiat płonie  
I śle cudne swe wonie  
Stwórcy słońca i wiosny.

Wśród motylów i kwiatów,  
Róż, stokrotek, bławatów,  
Któż to stąpa tak cicho i skrycie?  
Ach! to kotek się skrada;  
Biedne ptaszki, wam biada,  
On na wasze zaczął się życie!

Jako strzyże uszkami,  
I przebiera nóżkami  
Pocichutku a zdradnie,  
Ej! z tych kocich igraszek  
Już ja widzę, że ptaszek  
Pod pazurki kotkowi wnet wpadnie.

A ty kotku, szkaradny psotniku,  
Co śnisz tylko o ptaszkach i mleku,  
Wstyd tak pragnąć wszystkiego dla siebie!  
Wszak i mleka i chleba  
Masz ty ile potrzeba,  
I o tobie tam myśli Bóg w niebie.

Bo co Boże nie ginie,  
O najmniejszej ptaszynie  
Ten Bóg dobry tam zawsze pamięta;  
Czyż ją na to miał stworzyć,  
Zeby miały co spożyć  
Takie, jak ty, drapieżne kocięta?

Spojrzyj, kotku, w około,  
Jak tu słicznie, wesoło,  
Porzuć brzydkie zamiary  
I nie zamąć tej ciszy,  
W której lepiej się słyszy  
Cuda Boże i czary.

Gabryela Jasińska.

## Pracownia pana Adama.

POGADANKA NAUKOWA.

— O, poczciwe moje dzieci — mówił p. Adam, witając młodych sąsiadów — jakże wam wdzięczny jestem, że mnie teraz częściej odwiedzacie. Tem smutniej mi jednak będzie, gdy wyjedziecie do Zakopanego, nie wiem, co ja tu pocznę bez was...

— Jaka to szkoda, że kochany p. Adam jechać z nami nie może! — zawołała Helenka — ale my tam o panu ciągle myśleć będziemy, zwłaszcza przy zbieraniu kwiatów, a jaki zielnik przywieziemy! Już naprzód cieszę się myślą, jakie ciekawe rzeczy pan nam opowiadać będzie o każdej roślinie.

— Byleście tylko najosobliwsze wszystkie podnajdowali i zebrali.

— Już niech pan będzie spokojny — rzekł Waław — ja się zapoznam z uczonymi botanikami, a niebrak ich podobno nigdy latem w Zakopanem, oni mi wskażą, gdzie mam szukać różnych osobliwości.

— Najpierw storczyki biore na siebie — mówiła Helenka — p. Adam tak dokładnie i szczegółowo mi opowiedział, jak te słiczne kwiaty wyglądają, że odróżnię je od wszystkich innych; czy to będzie *Orchis* z ostrogą, czy *Ophrys* bez ostrogi.

— Wielkie mi rzeczy! — mruknął Waław, wzruszając ramionami — samych storczyków napakujesz w zielnik; a mówił przecież p. Adam, że one się bardzo źle zasuszają i wcale nieładnie wyglądają muszą w zielnikach. Ileż to w Zakopanem jest innych pięknych i rzadkich roślin.

— Niechno ja słicznie p. Adama poproszę, to mi i o tych innych opowie, jak wyglądają, gdzie je znaleźć można, a nie poprzestaną pewnie na storczykach.

— Z największą ochotą — odrzekł staruszek — ja gawędzić niezmiernie lubię, jeśli kto słucha z uwagą i zajęciem. A tu jeszcze mam za to dostać piękny zielnik; oboje na tem zyskamy, gdy wskażę kochanej Helence, co ma w nim zasuszyć. Ba! w kłopotcie jestem coprawda, roślinność tatrzańska tyle bogactw, tyle skarbów w sobie mieści. Postaram się jednak wybrać i wyliczyć najcenniejsze przynajmniej. O szarotce już nie mówię, bo tę znają wszyscy, nawet i nie botanicy. Kwiatek ten ma przymioty tak zwanych nieśmiertelników, nie więdnie i zachować się daje bez trudności. Lecz są także inne, które łatwo można zasuszyć. Jeżeli pójdziecie na jakiś szczyt wysoki, np. na Czerwony wierch, nie zapomnijcie urwać tam parę okazów górskiej wierzby. Liście jej skórkowate wybornie się zasuszają.

— A cóż to znów za taka osobliwość, wierzba? — pytała Helenka — całego drzewa przecież nie zerwę, a cóż tam po listeczkach..

— Przeciwnie, prosiłbym, ażebyś mi tę wierzbę przywiozła całą, z korzeniem nawet — z uśmiechem przerwał p. Adam.

— Co, las mam karczować, drzewa po górach wyrwać z korzeniem?..

— Bądź spokojna, nie umęczysz się tem karczowaniem. Jest to właśnie jednym z najdziwniejszych cudów przyrody, że drzewa na górach maleją, karłowacieją. Sosna zamienia się w kosodrzewinę, która ma rozmiary krzewów niedużych, a wierzba przybiera postać malutkiego, pełzającego ziółka. Łodygi jej niekiedy są zupełnie zielone, miękkie, i wówczas zowie się zielną, *salix herbacea*; częściej jednakże gałązki po zostają drzewiaste, korą okryte, chociaż leżą na ziemi pośród mchu, rozkładając tam okrągławe listeczki i kotki kwiatowe, zupełnie podobne do tych, jakie mają zwyczajne nasze drzewa wierzbowe. Najobfiej widziałem je wyrastające na wyżynie Czerwonego wierchu w Tatrach, był to gatunek zwany w botanice *salix reticulata*. Kto się na tem nie zna, przejdzie przez ten las, nie spostrzegłszy wcale, że stąpa po wierzbach.

— Już mnie się to nie zdarzy, będę dobrze uważała, a na Czerwony wierch koniecznie pójde.

— Na Gewoncie znajdziesz bogatszą jeszcze roślinność, radzę ci tam pójść także. Wyłącznie podobno na Gewoncie rośnie przepyszny gatunek ostróżki o dużych szafirowych kwiatkach, nie ustępujących tym, które u nas hodują po ogrodach pod nazwą *delphinium*. Bo też te ogrodowe ostróżki pochodzą z gór alpejskich. Na Gewoncie przebywa także ładny traganek górski, *astragalus montanus*. Jest to nieduża roślina z rodziny strąkowych, o kwiatkach błękitnych, z kształtu do wszystkich groszkowych podobna, o listeczkach pierzastych, niezmiernie drobnych i licznych.

— To już tak, jakgdyby p. Adam miał w kieszeni te obie rośliny, pyszną ostróżkę i ładny traganek; nie ujdą one rąk moich, jak pójdę na Gewont.

— Nie pójdziesz ty jednak na wszystkie najwyższe szczyty — mówił Waclaw, pokręcając głową — nie zajdziesz tam, gdzie ja z panami się dostanę, nie potrafisz odszukać wszystkich najosobliwszych roślin.

— Czemu nie pójdę, czemu nie odszukam? nudny jesteś, Waclawie, ja mam dobre nogi i zobaczysz, że z ojcem wszędzie pójdę.

— Ależ najpewniej — potwierdził dobry p. Adam — i niepotrzebnie Waclaw siostrzyczce dokucza, jedyna to wada kochanego Wacka, radbym, ażeby i tej się pozbył. Zresztą, na najwyższych szczytach, na dzikich cyplach Gerlachu, Swinnicy i innych, nic już nie rośnie, chyba mchy i porosty, a i tych często braknie, naga skała świeci tylko, w szparach śnieg wieczny leży.

— A widzisz, widzisz! — wołała Helenka, klaszcząc w ręce — i cóż ty tam znajdziesz osobliwego, choćbyś i poszedł z panami na takie szczyty wysokie, gdzie ja się nie potrafię wygramolić. Znajdzie się dosyć pięknych kwiatów i rzadkich roślin w dostępnym miejscach.

— O, aż nadto — upewniał staruszek — żeby tylko najciekawsze wybierać, nie przechodzić obok skarbow obojętne, jak to czynią tak często turyści, nie mający o botanicę wyobrażenia. Niedaleko szukając, w samem Zakopanem, po rowach, pod płotami, znajdziecie kwiat okazały, zazwyczaj starannie hodowany po ogrodach naszych, tojad mordownik, *aconitum napellus*.

— Akonit! ależ ja ten kwiat znam dobrze — mówiła Helenka — ładny jest, szafirowy, ma kształt hełmu, lecz podobno jadowity.

— I bardzo nawet, niedarmo mordownikiem się zowie. W górach Himalaya rośnie gatunek gwałtowniej jeszcze trujący, zowią go *aconitum ferox*. Bo też tojady należą do rodziny jaskrów, a jaskry w ogóle niedobrej sławy używają. Nawet te niewinnie wyglądające, żółte łąkowe, omijane są przez bydło, które instynktem czuje ich szkodliwość.

— Nic to nie znaczy, tojad tatrański pójdzie dlatego do zielnika, przecież do ust go brać nie będę.

— Zapewne zaraz po przyjeździe do Zakopanego wybierecie się do doliny Kościeliskiej, bo to wycieczka niedaleka i wcale nie męcząca. Ach! co tam za kwiaty, co za kwiaty! Najpierw w pobliżu skały, zwaną przez górali Krakowem, w cienistych ustroniach poszukajcie pięknych fiołków żółtych.

— Alboż są żółte fiołki? Toż nie powinnyby się nazywać fiołkami, tylko żółtaczkami chyba.

— Ba! kształt mają najzupełniej ten sam, co i fiołki zwyczajne, tylko barwą złocisto żółtą się wyróżniają i wyglądają ślicznie. Zowią je dwukwiatnymi, *viola biflora*, gdyż wążka łodyżka zwykle podtrzymuje dwa kwiateczki i dwa listeczki; bywa ich jednak często po trzy. Następnie nie tracąc czasu, oglądajcie się po skałach i głazach olbrzymich, rozsypanych w dolinie Kościeliskiej, a natraficie wkrótce na śliczny kwiatek, który z pewnością uwagę waszą zwróci na siebie. Wyobraźcie sobie łodyżkę cienką, wysmukłą, a prosta jak drucik, wznoszącą się wprost z nagiętej skały. Przy nasadzie jej obaczycie różyczkę liści grubych, skórkowatych, ząbkowanych u brzegu, przytulonych do głązu. Z pośrodku strzela owa łodyżka i podtrzymuje okazałe grono kwiateczków niedużych, lecz dziwnie miłych i wdzięcznych. Mato-

wo białe, jakby porcelanowe, oznaczone są purpurowymi kropczkami; mają po pięć płatków, po dziesięć pręcików.

— O, poznam śliczny ten kwiatek, panie Adamie, poznam od pierwszego wejrzenia, zerwę i zasuszę — wołała Helenka.

— Paradna jesteś, siostrzyczko — odezwał się Waclaw — zerwiesz, zasuszysz, ale nie będziesz wiedziała, jak się ten kwiat nazywa, nawet o to nie pytasz.

— Nie pytam, bo p. Adam powie mi to zaraz bez pytania. Oj ty, paradny braciszku!

— Roślinę tę — mówił p. Adam — nazywają skalnicą lub łomikamieniem, *saxifraga*, skała, *frangere* łamać, a nazwa to bardzo dla niej stosowna, przekonacie się sami. Zupełnie tak wygląda, jakgdyby wążka tą swoją łodyżką przebijała skałę i w niej korzonek zapuszczała. Trudno pojąć, jakim cudem różyczka liści utrzymuje się na powierzchni nagiętej skały. Ale czy tylko nie za dużo wyliczyłem wam dziś tych roślin na raz, czy potraficie to zapamiętać?

— Ja sobie zapiszę wszystko, co p. Adam opowiadał — rzekła Helenka — i to dziś jeszcze, póki mam to świeżo w pamięci.

— Ach, te panny zaraz bazgrzą, zapisują — mówił Waclaw, kręcąc głową — widać, że nie liczą na swoją pamięć. Ja i tak nie zapomnę.

— O, o, panny! — przerwała Helenka oburzona — a ja właśnie nauczyłam się od p. Adama tego zapisywania. Patrz, co tu na biurku notatek rozmaitych. Aha! co teraz powiesz?

Waclaw nic nie powiedział, tylko śpiesznie się pożegnał, a stary przyjaciel pogroził mu z uśmiechem na nosie.

M. J. Z.

## GWIAZDA SUDANU.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE ŚRODKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Znowu tedy powracam do pytania: co ja tu robię w tej przesławnej afrykańskiej stolicy, poco tu przybyłem? W chwili zapału przyjąłem bez namysłu propozycją wujaszka Baka, późnziej dopiero przyszło zastanowienie, zapóźno, niestety! Należało zawczasu przygotować się na nieuniknione następstwa podobnego postanowienia; nikt mnie przecież nie zmuszał, nie namawiał nawet zbyt natarczywie, zgodziłem się chętnie, dobrowolnie, radośnie, teraz gorzko ubolewam nad lekkomyślnością swoją. Lecz co się stało, odstać się nie może, muszę więc rad nie rad pogodzić się ze swoim losem.

Potem z kolei zacząłem się nad tem zastanawiać, co mogło skłonić p. Katarzynę Voost do przedsięwzięcia tej niebezpiecznej i nużącej podróży? Młoda, piękna, bogata, czemuż nie używała tych darów Bożych w ojczyźnie, otoczona zbytkiem, wygodami, wśród wszelkich rozkoszy życia cywilizowanego, do których od dzieciństwa przywykła? Przez cały czas podróży starałem się wyrozumieć cokolwiek tę skrytą panienkę, lecz niełatwo to była sprawa. P. Katarzyna zawsze jednostajnie milcząca, niewzruszona, nigdy nie dała się wciągnąć do dłuższej, szerszej rozmowy. Wkrótce też ze zdziwieniem spostrzegłem, że wujaszek Bak i ciocia Gudula tyleż wiedzieli, co i ja, milcząca panna i przed nimi się nie wynurzyła z tem nigdy, w jakim celu, poco i na co tę podróż przedsięwzięła.

P. Katarzyna wyglądała obojętna na wszystko, nie zdradzała żadnych szczególnych upodobań. Nie budziły w niej nadzwyczajnego zajęcia zielniki wujaszka Baka, nie ożywiała się podczas rozmowy o kwestjach geograficznych, zawsze jednakowo sztywna, była dla mnie przez czas długi prawdziwą zagadką. W końcu przecież natrafiłem na rozwiązanie.

Nawet i ten posąg miał bowiem swoją słabą stronę, którą tylko wysledzić i wykryć należało. To też w końcu udało mi się na tej zagadkowej twarzy spostrzedz pewną zmianę, nieznaczną, dla mnie jedynie widoczną. Gdy wujaszek Bak wymawiał nazwisko Aleksandryny Tinne, słynnej podróżni-

Katarzyny, natomiast gorliwie zabrałem się do ciotuni, a ponieważ poczciwa p. Gudula, nie będąc gadatliwą w ujemnem znaczeniu tego wyrazu, do milczących także nie należy, więc pomalutku z jej rozmowy doszedłem wszystkiego. Inny autor, dla wywołania dramatycznych wrażeń, trzymałby może



Do kotka (str. 163).

czki, rodaczki swojej, p. Katarzyna rumieniła się lekko, oczy jej dziwnego nabierały blasku, ręce zaciskały się czasem mimowolnym ruchem, zdradzającym głębsze wewnętrzne wzruszenie.

Nawykły do badań naukowych, wiedziałem, iż niema tak słabej nici, któraby przy cierpliwych i wytrwałych poszukiwaniach nie mogła doprowadzić do ważnych odkryć. Nie próbowałem już nawet dopytać się czegokolwiek od p.

długo czytelników w niepewności, pozwolilby im snuć najrozmaitsze domysły, mniej lub więcej pochlebne dla p. Katarzyny, ja jednakże nie chcę być skrytym i nie odkładając całą prawdę opowiem.

Młoda, bogata dziedziczka, jak wszystkie panienki w jej położeniu, miała dużo, za dużo nawet swobodnego czasu. Niezbyt zamięłowana w światowych rozrywkach, lubiła czytać, lubiła także i marzyć. Wpadł jej w ręce opis podróży Ale-

ksandryny Tinne, przygody zakończone śmiercią przedwczesną młodej, odważnej kobiety, wywarły głębokie wrażenie na dziewczynie chłodnej na pozór, pod tą powierzchownością ukrywającej serce szlachetne i pełne zapału, wyobraźnią żywą, chociaż błędzącą niekiedy na manowce.

Gdyby p. Katarzyna miała matkę, zwierzała jej się ze wszystkimi myślami i uczuciami, ta zapewne potrafiłaby jej wytłumaczyć, że nie każde bohaterstwo godne jest naśladowania. Można podziwiać nieustraszoną podróżniczkę Aleksandrynę Tinne, nie idzie za tem, aby młode panny miały za jej przykładem puszczać się w głąb dzikich afrykańskich krajów, gdy siedząc spokojnie w domu mogą być o wiele pożyteczniejsze.

Ale w braku matki i ojca, bo p. Katarzyna była zupełną sierotą, nikt jej tego nie powiedział. Poczciwa p. Gudula nie umiała pozyskać serdecznego zaufania samowolnej panienki, a chociaż ja z jej opowiadań domyśliłem się tych wszystkich szczegółów, dobroduszną jejmość sama nie wyciągnęłaby nigdy wniosków podobnych. Wujaszek Bak nie bardzo się zastanawiał nad tajemnicami serc dziewczycy, zjawiska świata roślinnego dostarczały mu dosyć zagadnień do rozstrzygnięcia. Kochał niezmiernie siostrzenicę, przywykł jej dogadzać we wszystkim, powiedzmy całą prawdę, przywykł do różnych jej zachcianek dziwacznych, a chociaż zamiar podróży do Afryki przewyższał wszystkie poprzednie, że jednak z drugiej strony dogadzał jego własnym pragnieniom i upodobaniom, więc niedługo się sprzeciwiał.

Był to w rzeczy samej osobliwszy zbieg okoliczności. Młoda panienka, w braku praktyczniejszego zajęcia, zamarzyła o sławie, o wawrznach Aleksandryny Tinne, znudzona rozkoszą życia, które jej niczego nie odmawiało, zapragnęła spróbować trudów, nędzy, niebezpieczeństw, i oto dla dogodzenia tej fantazyj starzy wujaszek, stara ciocia, rzucają spokojne ognisko domowe i puszczają się na nieznane przygody. Co więcej, człowiek obcy, nie mający żadnych obowiązków dla tej panienki z główką przewróconą, daje się namówić i dzieli z nią szalone wybryki.

Takie myśli snuły mi się po głowie przez znaczną część nocy, zasnąłem wreszcie, gorączka mnie opuściła i spałem smacznie aż do południa. Karol przyszedł mnie zbudzić.

— Pa-a-a-nie do-o-kto-kto-rze! — bąkał mi nad głową — pa-a-ań-stwo pro-o-o-szą bo ma-a-ja i-i-ść do sze-e-ej-ka.

### III.

#### Przyjęcie u szejka.

Ubrałem się śpiesznie i poszedłem na taras, gdzie czekali na mnie p. Bakhuyzen i panna Katarzyna. Z tarasu tego na dachu mogliśmy widzieć dokładnie całe miasto i okolicę dookoła. W stronie północnej roztaczał się widok najokazalszy, na wyniosły meczet Sankore, a dalej jeszcze na wspaniałą kopułę grobowca władcy Faki-Mahmuda. Na wschód roztacza się ogołocona płaszczyna Taramtu, na południe, poza starym meczetem Sidi-Jahia i gajem drzew palmowych ciągnie się w dal nieskończoną pustynia Kabara; na zachód także widać wszędzie piaszczyste, nagie równiny, w obrębie miasta tylko skąpy cień rzucają kępy palm i tamaryszków.

Dla Europejczyka widok ten miał przedewszystkiem urok nowości, nie mogłem oczu oderwać od niego; p. Bakhuyzen dość obojętnie spoglądał dookoła, już to przekonałem się, że oprócz ulubionych roślin, nic w świecie silniejszego wrażenia nie wywiera na nim, co do p. Katarzyny, twarz jej była, jak zwykle, marmurowa.

Nie było czasu do stracenia, zeszliśmy na dół i udaliśmy się w odwiedzinę do szejka. Wysoki ten dostojnik, władca miasta Timbaktu, przyjął nas tak gościnnie w swoim państwie, że należało mu się podziękowanie i czolobitność. Rezydencja szejka była bardzo blisko naszego mieszkania, prawie naprzeciwko. Imię jego, Achmet el Bakai, podwła-

dni dla skrócenia przekręcali zazwyczaj na „el Bak”, podobnie jak w rodzinie p. Bakhuyzena przezywano go wujaszkiem Bakiem.

Sąsiad nasz p. Lemercier nie omieszkał też z tego powodu nadać uliczce, dzielącej dom nasz od pałacu szejka, szumnego miana ulicy Bak. Był on Paryżaninem i to mu przypominało ulicę „du Bac” w stolicy nadsekwańskiej. Ja wówczas jeszcze Paryża nie znałem, więc i podobieństwa ocenić nie mogłem, lecz w parę lat później, odnosząc ten opis podróży w rękopisie do wydawcy paryskiego, przechodziłem właśnie przez tę ulicę „du Bac”. Jest wprawdzie różnica i znaczna nawet pomiędzy nią i uliczką naszą w Timbaktu, lecz obie są dość kręte, więc przy dobrej woli porównanie jest w każdym razie możliwe.

P. Katarzyna, idąc do szejka, wzięła do ręki firman, czyli list polecający, który otrzymała w Tripolisie od uprzejmego Yesyda - paszy, namiestnika tej prowincji. Gdyśmy stanęli przed obliczem Achmeta el Bakai, panienka wręczyła mu najpierw ów firman w kopercie opieczętowanej lakiem zielonym, następnie przedstawiła nas dostojnikowi.

Trzeba wiedzieć, że podróżnicy europejscy, zapuszczając się w głąb Afryki, zwykle dla bezpieczeństwa przybierają zmyślane nazwy, do miejscowych zbliżone. I tak podróżnik Clapperton w Afryce nazywał się Abdallah, Richardson Yakób, Barth, Abd-el Kerim. Idąc za przykładem tych znakomitych poprzedników naszych, i my zapożyczyliśmy sobie wschodnie miana na czas podróży, więc p. Katarzyna zwała się Tenatila ben Amaret, wujaszek Bak Mohamed ben Tulal, a ja na gruncie afrykańskim byłem Ali ben Embarek.

Ale szejkowi, oprócz tych nazwisk przybranych, odkryliśmy także i prawdziwe, jak to czasem podczas maskarady przez uszanowanie dla jakiejś dostojniejszej osoby zdejmuje się na chwilę maska w jej obecności.

Achmet el Bakai ben Moktar ma lat około pięćdziesięciu, wysokiego jest wzrostu, silnie lecz kształtnie zbudowany, twarz jego miła i inteligentna, zbliżona bardzo do typów europejskich, tylko miedziana cera się od nich wyróżniała; czarna, bujną brodę przypruszyła już z lekka siwizna, długie rzęsy ocieniały błyszczące oczy. Szejk przybrany był w kaftan i spodnie czarne, zawój tego samego koloru miał na głowie. Ujął on nas odrazu postępowaniem pełnem prostoty i szczerości, dobroduszną poufałością i uprzejmością. Pytał najpierw, do jakiej narodowości należymy.

— Czy wy jesteście *inglisy*? — mówił.

— Nie, nie jesteśmy Anglicy -- odpowiedziała p. Katarzyna.

— To może *merikani*?

— I nie Amerykanie także.

— A więc *Prusi*?

— Nie Prusacy, i nie Niemcy.

— A to chyba *francisy*?

— Nawet i nie Francuzi, pochodzimy z małego kraju, graniczącego z Francją.

— Francis bono! Francis bono! — wołał szejk i twarz jego rozjaśniła się jakby przyjemną myślą. Odgadłem, że sobie przypomniał sąsiada naszego, p. Lemercier'a, który zaskarbił jego łaski miłem swem i wesołem usposobieniem.

P. Katarzyna usiłowała wyjaśnić, że w Europie są jeszcze inne kraje, oprócz Francji, Anglii i Niemiec, lecz nie szło jej to łatwo, poczciwy Achmet el Bakai nigdy w życiu nie słyszał o istnieniu Holandji ani Belgii, nie wiedział wcale o tem, że król Belgów tak gorliwie zajmuje się sprawą cywilizacji Afryki i tyle ma współczucia dla jej mieszkańców. A wtem myśl świetna błysnęła w głowie wujaszka Baka, powiedział szejkowi, że jest rodakiem panny Aleksandryny Tinne, znakomitej podróżniczki, zamordowanej przez Tuaregów w r. 1869 na drodze z Murzuku do Rat.

Wiadomość o tej smutnej przygodzie doszła była w swoim czasie do uszu Achmeta, pokiwał głową z ubolewaniem i parę przekleństw dosadnych przesłał Tuaregom północnym, którzy się tej zbrodni dopuścili.

Posłuchanie było skończone, chcieliśmy odejść, lecz szejek zaprosił nas na obiad, przygotowany już właśnie na tarasie, to jest na dachu pałacowym, ocienionym wspianą zasłoną papirusową, na wzór starożytnego *velarium*. P. Katarzyna wymówiła się zmęczeniem, ale my z wujaszkiem nie mogliśmy odmówić, ażeby nie obrazić gościnnego władcy, przyjęliśmy więc zaproszenie.

Był to wielki, uroczysty obiad, wydany na cześć nasze naumyślnie, uczestniczyć w nim mieli wszyscy najwyżsi dostojnicy krajowi i wnet schodzić się zaczęli jedni po drugich. Przybył więc Sid el Awuat, brat szejka, Hamedi i Mohamed ben Szotar, synowcy jego; Kanori i Faam, piastujący godność emirów, przybyło dwóch kadych, tak zwany *mallem*, wielki kowal miasta Timbaktu, wreszcie i jakiś znakomity derwisz.

Z ciekawością spoglądaliśmy na pochód uroczysty tych wszystkich dygnitarzy, gdy wtem z radością ujrzelśmy wchodzącego sąsiada naszego p. Anatola Lemerciera, który także otrzymał zaproszenie na ten obiad.

— Francis bono! — zawołał szejek na widok tego gościa i witał go z wielką uprzejmością. Pocziwiec powtarzał z dumą i upodobaniem te wyrazy, wyobrażając sobie, że umie po francuzku. Tyle go wyuczył Arab Barbusza ben Szakur, jedyny profesor francuzkiego języka w Timbaktu i to mu najzupełniej wystarczało.

Zasiedliśmy do obiadu, nie mogąc powiedzieć do stołu, bo za przykładem innych usadowiliśmy się po prostu na ziemi, nogi podginając pod siebie, po turecku. Szejek wyznaczył nam dwom i Francuzowi miejsca honorowe tuż obok olbrzymich półmisków drewnianych, stojących rzędem i wypełnionych po brzegi rozmaitemi dziwnymi potrawami. Dostojnicy zasiedli obok nas w kółko, sam zaś szejek nie siedział wcale przy uczcie, lecz z patryarchalną prawdziwie gościnnością przysuwał nam półmiski i zachęcał do jedzenia.

Musieliśmy kosztować wszystkiego, chociaż cprawda nie każda potrawa nęciła smak Europejczyka. Najpierw jako zupełni mieliśmy rodzaj kaszy z jagiel i z ryżu, a do tego mleko zsiadłe. Potem nastąpiły różnego rodzaju makarony, pszenne, kukurydziane, przyprawione z masłem, z miodem, garniowane daktylami, a wszystko to straszliwie pieprzne. Mięso pieczone i gotowane z ryżem, na pieczyście wyborne gołębie, wreszcie warzywa, szczególnie pataty, z rodziny powojowatych, których kłącza podziemne, mączyste, smak mają wyborny, orzechy, *arachis hypogaea*, dziwne rośliny strąkowe. Kwiaty ich żółte, z których niższe tylko wydają strąki pekate, z kształtu do małych kokonów podobne, pod koniec kwitnienia nachylają się ku ziemi, ukrywają w niej zupełnie nasienniki i tam dopiero dojrzewają. Duże i tłuste ziarna pieką się jak kasztany, smakowały mi też bardzo na obiedzie szejka. Były tam także wyborne, nieduże dynie; wujaszek Bak, który nam o tych wszystkich roślinnych pokarmach udzielał wiadomości, nazwał owe dynie według terminologii botanicznej *cucurbita melopepo*.

Na deser wreszcie mieliśmy banany, daktyle, różne inne owoce zwrotnikowe i placki z prosa murzyńskiego. Trawiasta ta roślina, do zwykłego prosa zbliżona, uprawiana wszędzie w strefach gorących, nazywa się także *sorgo*. U nas znana jest tylko słoma prosa murzyńskiego, z niej to bowiem robią miotłki do czyszczenia sprzętów i sukien. Jako napój, lało się obficie piwo z prosa robione, zwane *dży* i *menszu*, inny trunek, z fermentacji ziół otrzymywany. Z tych wszystkich specyałów najwięcej mi smakowały bułeczki pszenne, zupełnie na sposób europejski pieczone. Od tak dawna nie kosztowałem świeżego pieczywa! Wdzięczny byłem serdecznie za tę miłą niespodziankę piekarzom szejka.

Zresztą trzeba wyznać, że kuchnia afrykańska dużo pozostawia do życzenia, nie mógłbym jej zachwalać ludzkom, przyzwyczajonym do wykwinnych restauracyj paryskich, a choćby i brukselskich. Zjadaliśmy jednak dość ochoczo te fantastyczne potrawy, prowadząc przytem rozmowę ożywioną. P. Lemercier opowiadał mi, jakim sposobem dostał się do Timbaktu. Przybył on najpierw z Francji do portu-

wego miasta San Luis, przez krajowców zwanego Nder, a tu, naradziwszy się z rodakami, postanowił dotrzeć aż do Timbaktu, pełen odwagi i energii, nie uląkł się niebezpieczeństw takiej podróży.

Płynął najprzód rzeką Senegalem, minął Bakel i Medynę, i dostał się do wodospadów Felu. Przebył drogą lądową przestrzeń, dzielącą Senegal od Nigru, wąwozem Kokoro dotarł do wyżyny Manding, przedarł się przez jej grzbiet do doliny Kamalii, aż wreszcie ujrzał przed sobą wspaniałą rzekę Niger, przez krajowców zwaną Dżubita. Znowu więc łodzią puścił się w dalszą podróż, i mijając Bamaku, Yaming, Segu, Sansandig, Yene, Hamd-Allahi, nareszcie stanął w Timbaktu i tu się osiedlił.

Francuz ten niezmiernie mi się podobał. Wesół, zawsze dobrej myśli, zadowolniony z życia i losu swego, jako towarzysz, był nieoceniony. Ani marzyłem o tem, abym w tym kraju dzikim, w mieście barbarzyńskim, w całym znaczeniu tego wyrazu mógł napotkać takiego człowieka, jak Anatol Lemercier. Już nawet przestałem narzekać na ciężkie losy, które mię do Timbaktu zagnały, ta godzinka rozmowy wprawiła mię w najdoskonalszy humor.

A rozmawialiśmy o różnych przedmiotach i przekonałem się, że nowy mój przyjaciel był człowiekiem dość wykształconym, czytał dużo i o wszystkim trafne zdanie wypowiedzieć umiał. Zauważyłem tylko, że miał jakieś uprzedzenie do poezji i poetów. Gdy chciałem pochlebić dumie jego narodowej, wymieniając nazwiska znakomych poetów francuzkich, przerwał mi niechętnie:

— Ach, kochany panie! Ci wierszokleci do niczego nie są potrzebni na świecie. Bywają nawet niekiedy szkodliwi, przewracają ludziom głowy swoimi nedorzecznymi baśniami. Nie, nie, nie broń pan poezji, nienawidzę jej, chociaż w rodzinie miałem poetę, i może też właśnie dlatego...

— Jako? przerwałem zdziwiony — czyżby znakomity Nepomucyn Lemercier... \*)

— Ach! to był stryj mego ojca — rzekł z westchnieniem p. Anatol, jakgdyby ubolewał nad tą zakałą swego rodu.

Wtem szejek zbliżył się do nas, ponapełniał czary nasze gliniane szumiącym piwem i z uśmiechem dobrodusznym, spoglądając na przyjaciela Francuza, powtórzył ulubione wyrażenie swoje:

— Francis bono!

#### IV.

#### Odkrycie botaniczne wujaszka.

P. Lemercier, opowiadając mi szczegóły swój podróży, nie wspominał nic o celu, który go tu do Timbaktu sprowadził, ja też nie byłem tak niedelikatnym, abym się miał o to dopytywać; wszak i my nie potrafilibyśmy mu ze swój strony wytłómaczyć, pociosmy tu przybyli, na rękę mi więc było, że się nie naprzykrzał pytaniami.

Gdyśmy wstali od stołu, co ma znaczyć, że na znak gospodarza mogliśmy nareszcie rozprostować skurczone niewygodnie nogi, Achmet el Bakai zapytał, czy nie zechcemy się przejść i obejrzeć miasto. On sam ofiarował się być naszym przewodnikiem i pokazać osobliwości swojej stolicy. Przystaliśmy na to z ochotą, a i p. Lemercier przyłączył się do nas, chociaż dla niego „Gwiazda Sudanu” nic już nie przedstawiała ciekawego, znał doskonale każdy jej kątek.

Wierny Barbusza towarzyszył także panu swojemu na tój przechadzce. Ze strzelbą przewieszoną przez plecy, z siekierką w ręce, olbrzym beduiński z powagą wielką postępował o parę kroków za nami z tyłu, jak lokaj za panienkami.

Przechodząc przez ulice, zauważyłem, że mieszkańcy miasta witali swojego szejka oznakami wielkiego uszanowania. Każdy przechodzień, spotykany po drodze, zatrzymy-

\*) Autor wierszowanych komedij, dramatów i innych poetycznych utworów, żyjący na początku tego wieku.

wał się zaraz, całował ze czcią jego rękę lub kraj burnusa. Achmet el Bakai, jak dowiedziałem się od przyjaciela naszego Francuza, jest niepospolitą osobistością w kraju. Pochodzi on z rodu Uled bu Dżuda, bardzo znakomitego, początek genealogicznego jego drzewa tonie w pomroce wieków. Utrzymują bowiem, że jest potomkiem w prostej linii sławnego wojownika, nazwiskiem Obna ebn Nafa el Fari, który w początkowych dziejach Islamu wielką odegrał rolę, przekroczył Suez i zagarnął rozległą przestrzeń kraju pod panowanie wyznawców Mahometa.

(d c. n.)

## ROZMAITOŚCI.

### Domowe fajerwerki.

Nieraz dziatwa, pragnąc uczcić imieniny i tym podobne uroczystości rodzinne, chciałaby wyprawić iluminacją, fajerwerki. Najlepszy na to sposób, chcąc np. oświecić cały jakiś budynek, gmach, drzwi wchodowe, bramę, kazać zrobić stolarzowi na główne linie, mającego się oświecić fajerwerkami budynku czy wejścia, listwy na pół cala wydrążone, w te listwy ponakładać pakuł, waty, watę tę posypać siarką tłuczoną, pokropić spirytusem, i prochem tłuczonym obsypać. To znowu obsypać proszkiem kalafonii lub żywicą tłuczoną na proszek.

Gdy już ciemno, takie listwy podpalone, przez kilka minut dadzą nam świetlany obraz budynków, bramy, łuku, cyfry, herbu, co tylko przedstawić chcemy.

Wielisław.

### ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

(Od Gołąbki pocztowej dla Niezapominajki z pod Wawelu).

Z sześciu głosek się składa nazwisko badacza  
Dziejów naszych ojczystych, przeszłości narodu;  
Wieniec sławy już dzisiaj skroń jego otacza,  
Gdyż pracą i zasługą zdobył go za młodu.

\* \* \*

Poprobujemy teraz przestawiać litery,  
Brać na raz po dwie, po trzy, czasem i po cztery,  
By piętnaście wyrazów mieć na zawołanie.  
Z dwóch głosek będzie karta, przez graczków ceniona,  
Trzygłoskowych wyrazów osiem wnet powstanie,  
Umiejętna przemiana tej sztuki dokona.

Więc owad co szkodę sprawia,  
Ptak, co wyrazy wymawia,  
Pewna nazwa przeznaczenia,  
Płyn, co wodę zarumienia,  
Pisarz słynny nieżyjący,  
Kwiatek przyjemnie pachnący,  
Rzeka z północnej krainy,  
I wreszcie nazwa rośliny.

Pozostałe wyrazy są czterogłoskowe,  
Pięć ich mamy, z tych jeden w gramatyce znany;  
Drugi, choć go bajeczką mienią dzieje nowe,  
Siał postrach pod Wawelem, aż był pokonany

Przez dzielnego Krakusa. Trzy jeszcze zostaje:  
Smaczny napój ze wschodnich roślinnych zdobyczy,  
To, z czym rolnik we żniwa rzadko się rozstaje,  
To, co łatwo odróżnia słodycz od goryczy.

\* \* \*

Kto męża uczonego nazwisko odgadnie,  
Ten te wszystkie wyrazy wnet ułoży składnie;  
A Niezapominajka główki nie utrudzi,  
Lecz w serduszku jej radość i chluba się zbudzi...

### Łamigłówka gwiazda.

(Pegaz skrzydlaty ofiaruje autorce „W imię koleżeństwa” za jej śliczną powieść).

```

*       *       *
  *     *       *
    *   *       *
      * K       *
        *     *
          *   *
            * *
              *
  
```

Z 8-miu wyrazów 6-cio głoskowych i 8 wyrazów 5-cio głoskowych, układanych kolejno, a zaczynających się od litery K, ułożyć gwiazdę, o 8-miu dłuższych i 8-miu krótszych ramionach. Końcowe litery utworzą tytuł powieści. Znaczenie wyrazów: 1. Miasto starożytne polskie. 2. Łódki. 3. Izraelita do pewnej sekty należący. 4. Ptaki drapieżne. 5. Ptaszek młody. 6. Minerak. 7. Miasto w Czarnogórze. 8. Imię męskie. 9. Znaczna liczba. 10. Symbol wiary. 11. Gra towarzyska. 12. Rzeka w Rosyi azyatyckiej. 13. Jezioro w Grecyi. 14. Miasto w Persyi. 15. Miasteczko w Galicyi. 16. Wyspa europejska.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 19-go.

### Łamigłówki głoskowej:

Głoska A, której braknie w wyrazach: Londyn, Everest, Berlin, Rzym, Gniezno, Popiel, a znajduje się w wyrazach: Paryż, Francya, Kraków, Warszawa, Piast, Śnieżycy.

### Łamigłówki zegarka:

ParasoL—PomorzE—PliniusS—PotwarzZ—Poganie—  
PotomaK—PadaleC—PoloneZ—PanterA—ProchoR—  
PanteoN—PampasY.

Leszek Czarny.

**TREŚĆ:** Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Na zbójckim Ostrowiu, powieść p. Zielińską.. — Do Kotka, wiersz, p. Gabryelę Jasińską. (z drzew.) — Pracownia p. Adama, pogadanka naukowa. — Gwiazda Sudanu, przygody podróżników w Afryce środkowej. — Rozmaitości. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek.** Straszne niebezpieczeństwo p. M. J. Z. (z drzew.) — Dwie córeczki, wiersz p. Maryą Lednę. — Kurki Wicusia p. M. Weryho. — Lalka, opowiedziała Anna Z. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Branka litewska, opowiadanie z dawnych czasów p. Michalinę Zielińską.